

### **III miejsce**

„Szczyt”

Julia CHMIEŁOWSKA

*Mam piętnaście lat i wychowałam się na Śląsku, chociaż moja rodzina pochodzi z gór i Opolszczyzny. Od września jestem uczennicą Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Moją największą pasją są konie i jeździectwo.*

*Pisanie towarzyszy mi od najmłodszych lat, ale dopiero od roku wysyłam swoje prace na konkursy. Zachęciła mnie do tego wspaniała nauczycielka, dzięki której jeszcze mocniej pokochałam polski, a wiersze i opowiadania stały się nieodłączną częścią mojego życia.*

*Postać Wandy Rutkiewicz przybliżył mi mój młodszy brat, pasjonat wspinaczki. Od niego też dowiedziałam się wiele na temat wysokogórskich wypraw, co bardzo przydało się podczas pisania konkursowej pracy.*

Po południu razem z młodszym bratem i tatą wybraliśmy się na spacer do malowniczego lasu otaczającego najwyższe w okolicy wzniesienie, pełne wielkich, stuletnich drzew, nieczynnych odkrywek wapienia i kamiennych wapienników. Idąc wijącą się między starymi leszczynami ścieżką, powtarzałam w myślach listę zadań na najbliższe dni. Przygotowanie do sprawdzianu z matematyki, karta pracy z biologii, prezentacja na chemię, a przede wszystkim - wypracowanie z polskiego. Miało dotyczyć polskiej himalaistki Wandy Rutkiewicz.

Stawiając krok za krokiem, zastanawiałam się, jak je napisać. Nie podobała mi się wizja skróconej, encyklopedycznej notki, zbyt dużo podobnych już powstało. Skoro miałam napisać własną, niepowtarzalną pracę, powinnam znaleźć coś, co pozwoli mi się wyróżnić. Sprawiało to jednak pewien problem. Oczywiście wiedziałam, że Rutkiewicz weszła na Mount Everest, K2, Nangę Parbat i parę innych ośmiotysięczników. Ba, dzięki młodszemu bratu, z uporem zdobywającemu wszystkie okoliczne drzewa i ścianki wspinaczkowe, wiedziałam nawet co nieco na temat samych wysokogórskich wypraw, ich przebiegu i niezbędnego wyposażenia. Nie byłam jednak pewna, czy pomoże to w odrabianiu pracy domowej.

Przechodząc po drewnianym mostku przerzuconym nad wijącym się wśród zbutwiałych liści potokiem, wpadłam na pomysł, by poszukać w zakamarkach pamięci wszystkich zdarzeń, które choć trochę łączyłyby się z zadanytem tematem.

Zaczęłam od ferii i zimowiska, na które jak co roku wybrałam się z młodszym bratem Ignasem i ulubioną nauczycielką panią Kasią.

Pewnego wieczoru, gdy Ignas kolejny raz zatęsknił za domem, pani Kasia złożyła mu propozycję.

- Wybieraj - powiedziała, patrząc na zaczerwienione od płaczu oczy mojego brata. - Chcesz naśladować Jerzego Kukuczkę czy Wandę Rutkiewicz?

- Kukuczkę - zdecydował Ignas po chwili milczenia.

- W takim razie chodź, mój tatarniku - złapała jego małą ale silną dłoń.

- A jeśli mi się nie uda? - zapytał ze łzami w oczach.

- Musisz próbować - odparła ze spokojem. - Gdyby Kukuczka założył, że mu się nie uda, nie wszedłby na ten ... Mount Everest. Ani na żadną inną górę, nawet w Beskidach. Pożegnaj się z siostrą - dodała po chwili.

Ignas spojrzal na mnie i machnal kilka razy dlonia, co mialo wystarczyc za wieczorne czulości. Odwzajemnilam gest. Pani Kasia usmiechnęła się do mnie i delikatnie pociagnęła mojego brata w stronę pokoju.

W milczeniu wróciłam do piwniczki, którą dzieliłam z dwoma dziewczynami. Obie leżały na łózkach, przeglądając coś na swoich telefonach. Zasloniłam okna, za którymi w mroku kryły się śmietniki. Cóż, tego roku trafił mi się wyjątkowo uroczy pokoiik.

Kiedy nakryłam się kołdrą w spranej, zielonej poszewce, poczułam, że w kąciakach oczu gromadzą się nieproszone łzy. Nie chciałam płakać, choć powodów do zmartwień znalazłabym sporo. Pierwszego dnia na stoku instruktor powiedział, że jeżdżę najslabiej z całej grupy, a ukochana nauczycielka więcej czasu poświęcała mojemu bratu niż mnie. Pomyślałam, że to niesprawiedliwe. Ignas płakał, a ja starałam się być dzielna. Czy dlatego nie zasługiwałam na uwagę pani Kasi?

Wiedziałam, że ma bardzo dużo zajęć, jak zwykle, bo kierowanie całym zimowiskiem to nie lada wyzwanie. A jednak brakowało mi jej uwagi, nawet tych pytań, czy aby na pewno zjadłam cały obiad.

Postanowiłam wtedy, że skoro Ignas chce naśladować Kukuczkę, ja mogę naśladować Wandę. Tak jak ona wspinać się na strome zbocza, nie jednak ośmiotysięczników, ale codziennych problemów, wymagań stawianych przez ambitnych nauczycieli czy celów, o których od dawna marzyłam.

Wyjęłam telefon i zaczęłam szukać informacji o Rutkiewicz. Urodzona 4 lutego 1943, miała trójkę rodzeństwa, a po trzech latach mieszkania w Płungianach na terenie obecnej Litwy wraz z rodziną przeprowadziła się do Wrocławia. Musiała być wyjątkowo zdolna, bo już w wieku 17 lat została przyjęta na wrocławską politechnikę. W 1962 roku ukończyła kurs taternicki i zaczęła wspinać się w Tatrach. Później były Alpy, Pamir, Hindukusz i wreszcie najwyższe - Himalaje.

No tak, pomyślałam, urodziła się, żyła i umarła, czy też może raczej zaginęła. Co w tym niezwykłego? Przecież staje się to udziałem każdego człowieka. Narodziny, życie i śmierć - zawsze w jednakowej kolejności.

\*

12 maja 1992

Za skutymi wiecznym lodem szczytami wschodziło powoli pomarańczowe słońce. Pierwsze promienie muskały srebrne granie i odległe lodospady, przypominające nieco podłużne piszczałki organów. Na zboczach i grzbietach, w górach i dolinach budził się nowy, cudowny dzień. Kto wie, jak zapisze się w pamięci świata? Będzie pewnie szczęśliwy

dla matek witających swe długo wyczekiwane dzieci, a pełen bólu dla tych, którym przyjdzie rozstać się z ukochanym dziadkiem lub ojcem. Każdy dzień, smutku czy radości, zaczyna się tu zawsze tak samo - pierwszym promieniem wstającego słońca muskającym nagie skały.

Opuszczając lodową jaskinię, w której razem z Carlosem zatrzymaliśmy się na nocleg, pomyślałam, że ten budzący się w słońcu dzień stanie się być może datą zdobycia Kanczendzongi - mojego dziewiątego ośmiotysięcznika.

\*

6 marca 2022

Gruntowa droga zaprowadziła nas do stojącego na skraju lasu kamiennego wapiennika. Mojemu bratu ze szczęścia zaświeciły się oczy.

- Mogę wejść, prawda, że mogę? - zapytał niecierpliwie, jednak widząc, że tata znajduje się nieco dalej, zajęty obserwacją horyzontu, nie czekał dłużej na pozwolenie.

Obserwowałam, jak z nabożeństwem zbliża się do muru z białego kamienia. Chwilę przyglądał się szczelinom, a potem rozpoczął wspinaczkę. Jego dziecięce dłonie bez trudu wsuwały się w wąskie szpary. Szedł sprawnie i płynnie, bez strachu stawiając na wysuniętych nieco krawędziach głazów stopy w zimowych butach. Podziwiałam go za jego niemal pajęcze ruchy.

Kilka dni wcześniej sama miałam okazję, by się wspinać, bo - jak co miesiąc - pojechaliśmy na wuef do ośrodka sportowego. Zazwyczaj wybierałam tenis, jednak tym razem, chcąc wypróbować uprzęż, którą sprezentował mi Ignaś, zdecydowałam się na wspinaczkę. Koleżanka, która miała mnie asekurować, robiła to po raz pierwszy.

Zobaczyłam, że odwraca się, by spojrzeć, co robią inni, zamiast podciągnąć trochę moją linę, dosyć już luźną. Wisząc na kilkunastu metrach nad ziemią, drżącą ręką sięgając do przyczepionego z tyłu woreczka z magnezją, a drugą, mokrą od potu, podtrzymując całe, zmęczone ciało, zrozumiałam, jak trudno jest powierzyć komuś własne życie.

Ignaś szedł w górę śmiało, nie zważając na brak asekuracji. Obserwując go, pomyślałam o ludziach, którzy wspinają się w naprawdę wysokich górach, jak Himalaje i Karakorum. On do bezpiecznej ziemi miał zaledwie trzy, cztery metry, oni - nieraz kilkaset do najbliższej stabilnej półki. A jednak coś nieustannie pociągało ich ku tym najwyższym, niezdołanym, niebezpiecznym. Co? Pasja? Chęć ucieczki od świata? Próba pobicia rekordu? Pokonania góry?

Czasem myślę, że trudno zrozumieć nam tu, z dołu, te niesamowite przeżycia, balansowanie na cieniutkiej linie między życiem a śmiercią.

\*

12 maja 1992

Kolejne metry zdobywałam bardzo powoli. Co kilka kroków musiałam przystanąć, odpocząć, wyrównać oddech, by następnie znów mozolnie piąć się w górę. Wokół zrobiło się bardzo zimno, a każdy kolejny krok był dla mnie nadludzkim wysiłkiem.

Po co mi to wszystko, pytałam sama siebie, sinymi od mrozu wargami łapczywie chwytając tlen płynący z butli. Czy nie lepiej byłoby zostawić to wszystko? Nie musiałabym nawet wracać do Polski. Wystarczyłoby zejść z Kanczendzongi drugą stroną i schronić się przed światem w jednym z tybetańskich klasztorów.

Gdy świetlisty dzień ustąpił miejsca mrokom nocy, a skały wokół zaczęła spowijać gęstniejącą ciemność, wsunęłam się do wąskiej, lodowej jaskini. Chciałam przeczekać tam choć kilka godzin, choć wiedziałam, że to niebezpieczne.

Powieki zsunęły się na oczy, dając utrudzonemu ciału upragnioną ciemność. Nie chciałam oglądać surowych, lodowych ścian prowizorycznej kryjówki. Zatęskniłam za zielonymi lasami Polski i pełnymi radości pierwszymi skałkowymi sukcesami w Rudawach Janowickich. Pomyślałam o bracie, rozszarpanym na moich oczach niewybuchem, o zamordowanym ojcu, którego kazano mi identyfikować, wreszcie o przyjaciółach, którzy nie powrócili już z gór. Być może ja też kiedyś nie wrócę.

\*

6 marca 2022

Zaczęło się już ściemniać, dlatego tata zarządził powrót. Szliśmy chwilę szeroką, gruntową drogą, a potem, chcąc zdążyć przed zmrokiem, postanowiliśmy skręcić w dawno nieużywaną i nieco zarośniętą dróżkę odchodzącą w lewo.

Szybko przekonaliśmy się, że ścieżka wcina się między zbocza, powoli otaczając nas rosnącym murem wąwozu. Po obu stronach rosły niewysokie brzozy i dziczące jabłonie. Jedno z drzew, leżące w poprzek drogi, musieliśmy obejść, wspinając się po zarośniętym zboczu.

Po kilku minutach marszu spędzonych w niemal całkowitej ciszy, przerywanej tylko naszymi oddechami i trzaskiem łamanych gałązek, wyszliśmy z wąwozu i stanęliśmy na dnie starego kamieniołomu. Z każdej strony wznosiły się do nieba wysokie ściany jasnego kamienia, tonące w gęstniejącym z każdą chwilą mroku. Ignas wyjął latarkę i zaczął badać leżące na ziemi głazy.

Oddaliłam się kilka metrów i podniosłam oczy ku niebu, przyodzianemu w kolor atramentu. Wydawało się bardzo odległe. Lśniły na nim ledwo widoczne, maleńkie punkciki gwiazd.

Chwilę staliśmy w ciszy, każdy zasluchany w jej głuchą melodię. Później tata powiedział, że musimy już wracać.

- Którędy? - zapytałam, uważnie przyglądając się stromym ścianom.

- Spróbujmy wspiąć się tamtą stroną - tata wskazał ręką najbardziej zarośnięte zbocze.

Pokiwałam głową i podeszłam do ściany. Przyglądałam się jej tak, jak wspinacz przygląda się drodze, którą chce przejść, w myślach stawiając już kroki i chwytając niewielkie uchwyty. Wreszcie zaczęłam się wspinać.

Na początku szłam bez trudu, jedynie dla pewności przytrzymując się smukłych pni lub kęp trawy. Dopiero później zrobiło się bardziej stromo. Zanim oparłam się na nodze, wciskałam ją nieco głębiej w ziemię, korzystając z rad, których kiedyś udzielił mi młodszy brat. Kiedy dłonią nie znajdowałam w ciemności żadnego pędu, na którym mogłabym się oprzeć, chwytalam w palce czarną ziemię, modląc się w duchu, by nie osunęła się razem ze mną w dół wyścielony wapiennymi głazami.

Cierniowa gałązka otarła się o moją dłoń, zostawiając na niej bolący ślad. Zagryzłam wargi. Jeszcze tylko kilka metrów.

Ostatkiem sił doczołgałam się na szczyt. Przecisnęłam się między krępyimi krzewami, a potem, nie zważając na zimno i wiatr targający bezlistnymi gałęziami, usiadłam na ziemi, pokrytej resztkami zeszłorocznej trawy.

Było już ciemno, z mroku wyłaniały się jedynie białe ściany po drugiej stronie kamieniołomu, wysokie i strome. Nad nimi jaśniały delikatnym blaskiem światła odległych miast. Mój nierówny oddech powoli uspokajał się, zwalniało bijące szybko serce. Tata i Ignas byli już kawałek dalej, przy zboczu kamieniołomu pozostałam sama. Tylko ja i ona, wielka, stroma ściana. „Na szczycie, poprzez wysiłek i zmęczenie, oczyszczeni i wolni, choć na chwilę stajemy się częścią natury” - powiedziała kiedyś Wanda Rutkiewicz. Nie mogłam się z nią teraz nie zgodzić. Pomyślałam, że wszystkie góry, które zdobyłam do tej pory, niewiele miały wspólnego z prawdziwą wspinaczką. Dopiero teraz, na zboczu starego kamieniołomu, przytulona do prawie pionowej ściany, za jedyne oparcie mając kępkę suchej trawy, zrozumiałam, dlaczego ludzie są w stanie poświęcić życie, by zdobyć wielką, surową i niedostępną Górę. Tylko tak odkryć można, kim naprawdę jesteśmy. Odciać się od całego stworzonego przez ludzi świata i w samotności dowiadywać się najgłębszych prawd.

Góry to sprawdzian. Niektórzy potrafią obejść się bez niego, wolą nie wiedzieć, co byliby w stanie znieść. Zdarzają się jednak i tacy, którym nie wystarcza spokojne życie gdzieś na równinach. Postanawiają mierzyć się ze śmiercią, każdego dnia patrzeć jej w oczy, wrywać z jej mrocznych rąk nić swojego życia, na której zawieszeni są jak na linie.

Ale nawet oni muszą w końcu poddać się jej panowaniu. A jeśli nie, przyszło mi nagle do głowy, jeśli wcale nie muszą? Czy naprawdę możemy być pewni śmierci, której nikt nie zobaczył i nikt nie usłyszał? Śmierci, po której nie pozostał żaden ślad, niepotrzebne ciało jak zrzucona skóra węża, testament ani list, bo może tej śmierci... wcale tam wtedy nie było?

\*

13 maja 1992

Wieczorem w moim lodowym schronieniu odwiedził mnie Carlos. Długo rozmawialiśmy. Powiedziałam mu, że z samego rana spróbuję zdobyć szczyt.

Chciał zaprotestować, odradzić, ale w końcu kiwnął tylko głową.

- To twoje życie - powiedział poważnie.

- I moja śmierć - dodałam, sama nie wiedząc dlaczego.

Wyruszyłam, zgodnie z postanowieniem, wczesnym rankiem. Szłam bardzo powoli, byłam już wyczerpana wędrówką ostatnich dni. Nie chciałam się jednak poddać. Miałabym po raz trzeci wrócić z Kanczendzongi bez szczytu?

Po kilku godzinach zobaczyłam w oddali wysoki i piękny wierzchołek. Mój dziewiąty ośmiotysięcznik, pomyślałam niemalże z dumą. Moja karawana do marzeń.

Wpatrzona w jego srebrne cielsko, otoczone siwymi chmurami, parłam do przodu z nową energią.

Nagle potknęłam się, a rak zsunął się z mojej nogi. Próbowałam oprzeć się na czekanie, ale on, nie wbity wystarczająco mocno, zachwiał się i wyrwał wraz z kawałkiem twardego lodu. Odpadłam od ściany.

Spadam, pomyślałam ze zgrozą. Poczułam, jak napięta do granic możliwości lina pęka, a moje ciało z gwałtownym szarpnięciem wyzwala się spod jej więzów. Byłam wolna. Leciałam.

Skały pod stopami stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu zniknęły zupełnie. Daleko w dole zobaczyłam skłębione chmury. Byłam nad nimi. Więc... jednak się udało. Zdołyłam szczyt.